

Radek Żydonik

Paczka dla Świętego Mikołaja



Ilustrowała Milena Molenda

Wydawnictwo Skrzat
Kraków



W moim przedszkolu każdy zna Świętego Mikołaja. W dodatku osobiście! A wszystko dzięki mnie. Po prostu na imię mam Mikołaj, a na nazwisko – Święty. Śmiesznie, prawda? Z nazwiskami różnie bywa. Na przykład Malutki – właśnie takie nosi Bartek z grupy Śnieżynki. A przecież wcale nie jest malutki, bo ledwo sięgam mu do brody. Znam też Janka Bolipiętę (jesteśmy razem w Bałwankach). Nic go oczywiście nie boli, chyba tylko brzuch ze śmiechu, kiedy trenuje fikołki. Jego ostatni rekord – sześć przewrotów. A na finiszu: trach! – prosto w renifera, któremu zaświecił się nos i zaczął wygrywać kolędy (nawet pani chichotała!)... No więc ja nazywam się Święty. Mikołaj Święty.

Tak między nami... taki święty to ja znowu nie jestem. Choćby dziś, gdy ubierałem z mamą choinkę... Z początku wszystko szło jak z płatka – zawiesiłem łańcuch z wycinanek, który – ciach, ciach – zrobiłem w przedszkolu (najpierw sam się nim owinąłem, żeby się poczuć jak choinka). A potem przyszła kolej na świątecznego lizaka, wiecie, takiego w kształcie laski. Właśnie wieszałem go



na gałązce, gdy nagle sreberko zaszeleściło jakoś tak, jakby szeptało: „odwiń mnie, proszę”. Jestem uczynny, więc nie dałem się prosić, a wtedy...

– Zniknął w TAJEMNICZYCH okolicznościach! – Usłyszałem głos mamy, która pośród bombek szukała dokładnie tego, co właśnie miałem powiesić.

Okoliczności zniknięcia lizaka szybko przestały być tajemnicze. Wystarczyło jedno spojrzenie na moją klejącą się buzię.

– To dziś już trzecia laska – westchnęła mama i dodała, że moje mleczone zęby, gdyby mogły mówić, powiedziałyby, że to oburzające.

Byłem tak pochłonięty oblizywaniem palców z lepkości, że zamiast „oburzające” usłyszałem „burza”. Burza w grudniu? – zdziwiłem się i wyrząłem przez okno. Ale zamiast piorunów zobaczyłem opadające łagodnie płatki śniegu, które otulały podwórko białym kożuszkiem. Już miałem zawołać: „Chodźmy na sanki!”, gdy u drzwi zabrzmiało głośnie „bim-bom!”.



– Paczka dla Świętego Mikołaja! – zawołał w progu listonosz.

– Dla Mikołaja, znowu? – zdziwił się tata, który właśnie lepił pierogi na Wigilię.

Ja również się zdziwiłem, bo to już czwarta w tym tygodniu przesyłka zaadresowana na moje imię i nazwisko. Za pierwszym razem zawołałem „hura!”, bo byłem pewien, że przyszła elektryczna koparka (proszę o nią od roku!) albo ciuchcia buchająca dymem.



Nic z tego... W przesyłce był tylko blaszany gwizdek (kusiło mnie, żeby zagwizdać, ale wcześniej bawiłem się trąbką i tatę bolała głowa). Moje nadzieje na koparkę odżyły w środę, gdy listonosz dostarczył drugą niespodziewaną paczkę. I znowu pech! W środku znalazłem zardzewiałą podkowę. Mama zapewniła, że ta podkowa na pewno przyniesie mi szczęście. Ale szczęście znów pomyliło adres, bo trzecia przesyłka (dotarła wczoraj) zawierała szalik w bałwanki, który wyglądał, jakby miał sto lat. Sami rozumiecie, że teraz nie spodziewałem się już ani koparki, ani ciuchci, ani nawet dinozaura, który robi „grrrrr!!!”, gdy się naciśnie guzik na ogonie.

– Pewnie znowu jakiś muzealny eksponat – zachnął się tata, otrzepując ręce z mąki. Odebrał paczkę od listonosza, stwierdził, że znów nie ma adresu nadawcy, i zdumiał się, że jest bardzo lekka.

Jeszcze bardziej się zdumiał, gdy ją rozpakował! Bo w środku znalazł złożony w kostkę materiał, który jaśniał takim blaskiem, jakby posypano go pyłem z Gwiazdy Betlejemskiej.

